POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 27 KWIETNIA 1929 ROKU NR. 17

V. WILLIAMS.

TRÓJKA TREFL

5)

Ujrzał wspaniały i groźny niemal pejzaż zimowy; nie widać było w pobliżu żadnej stacji i miało się wrażenie, że pociąg zatrzymał się pośrodku lasu sosnowego.

Nawprost okna znajdował się słup z tabliczką, na której widniała liczba „224". Klaudjusz poznał, że jest to jeden z słupów, idących wzdłuż linji kolei żelaznej, od Wiednia do Budapesztu.

Noc była cicha i jasna; drzewa, pokryte śniegiem i błyszczącemi soplami lodu, stały oddzielone od szyn białym dywanem śniegu. Na ten niepokalanej bieli całun kładły się czarne smugi dymu.

Klaudjusz wciągnął nozdrzami mroźny powiew lasu, pomieszany z zapachem mchu, igieł i żywicy.

Nie było księżyca. Drzewa błyszczały bielą, za niemi szedł czarny pas gęstego lasu. Chwiały się gałęzie pod naporem śniegu i dzwoniły sople lodu. Klaudjusz, drżąc z zimna, zamierzał już zamknąć okna, gdy wtem usłyszał odgłos, idący z wewnątrz pociągu. Ktoś otwierał okno.

Młody mężczyzna wychylił głowę. Trochę dalej, mniej więcej nawprost drzwi, ujrzał człowieka, stojącego pomiędzy laskiem a linją drogi żelaznej. Postać rysowała się niewyraźnie. Klaudjusz zauważył, iż miała na głowie futrzaną czapę i otulona była w ciężki ale krótki płaszcz.

W tym samym momencie pociąg ruszył.

Człowiek stojący na śniegu wyciągnął rękę, podając list czy papier osobnikowi przy oknie. Prawie jednocześnie jakiś czarny przedmiot wypadł z pociągu pod stopy człowieka w futrzanej czapie. Klaudjusz widział, jak potoczył się po śniegu; mężczyzna schylił się, ażeby go podnieść, a następnie wstał z twarzą zwróconą do pociągu. Światło lampy w przedziale Nr. 5 — 6 padło na jego twarz i ku swojemu wielkiemu zdumieniu Klaudjusz Lorne poznał w tym człowieku Godfreya Cairsdale.

Trwało to tylko okamgnienie, już pociąg pędził dalej, pozostawiając za sobą malejącą postać mężczyzny w futrzanej czapie; lecz Klaudjusz znał zbyt dobrze młodego dyplomatę, ażeby mogła zajść jakaś pomyłka.

Godfrey nosił wielką futrzaną czapę i wysokie buty. Był mizerny i twarz mu się wyciągnęła, ale oczy spoglądały jasno i promiennie, co było zawsze jedną z jego charakterystycznych cech.

Klaudjuszowi Lorne nie brakło bystrości. Ze swojej krótkiej rozmowy z Euanem Mac Tavishem na temat Godfreya wywnioskował, iż Mac Tavish wiedział znacznie więcej o zniknięciu młodego dyplomaty, niż to chciał przyznać, i że nie zamierzał informować nikogo w tej sprawie.

Kto wziął list, który Cairsdale podawał do pociągu?

Nie ulegało żadnym wątpliwościom, że — Mac Tavish. Być może, znajdował się jeszcze na przeciwległym końcu wagonu.

Kto rzucił paczkę Godfreyowi?

Napewno Mac Tavish, który przywiózł ją w tym celu z Londynu.

Lecz co robił Godfrey Cairsdale w tym węgierskim lesie, pośród głuchej, zimowej nocy? Jak przybył tu, gdzie mieszkał?

Klaudjusz Lorne zmarszczył czoło.

Problem wydał mu się nie do rozwiązania. Co pomyśli śliczna Wirginia Fitz-Gerald, gdy opowie jej tę nieprawdopodobną historję?

Sądząc z rozmowy z uroczą panną, Godfrey powinien był zjawić się w Paryżu. Dziwne zamiłowanie do błąkania się nocą po lesie, zamiast — rozmawiać z tak czarującą istotą, w zacisznym saloniku, u Ritza!

Młody mężczyzna ziewnął:

— Niech zacny Euau strzeże swoich tajemnic, a ja kładę się do łóżka. Brrr, co za ziąb.

W tej chwili rozległy się na korytarzu przyspieszone kroki i podniesione głosy.

Młody mężczyzna uniósł głowę. Po drugiej stronie drzwi ktoś mówił:

— W przedziale Nr. 9 znajduje się lekarz. Na Miłość Boską, obudzić go jak najprędzej.

Złe przeczucie wstrząsnęło Klaudjuszem. Zerwał się pośpiesznie i otworzył drzwi.

Blady, zdenerwowany konduktor stał bezradny i zatroskany.

— Co się stało? — zapytał Lorne.

— Szukam lekarza. Zasłabł jeden z pasażerów?

— Kto taki?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że Anglik.

Klaudjusz sięgnął po palto i wybiegł na korytarz.

Instynktem wiedziony, skierował się w tę stronę, z której rzucono Godfreyowi paczkę. Zimny pęd powietrza biegł przez korytarz, pociąg słabo oświetlony chybotał gwałtownie.

Wtem Klaudjusz zatrzymał się. Konduktor i kontroler nachylali się nad człowiekiem, wyciągniętym na podłodze, za nimi. Trzaskały drzwi wagonu.

Unieśli się na chwilę i Klaudjusz ujrzał Mac Tavisha. Leżał bez ruchu, twarzą zwróconą do ziemi.

V.

WIRGINJA POSTANAWIA DZIAŁAĆ.

Po tygodniowym pobycie w Paryżu, otrzymała Wirginja Fitz-Gerald list od Klaudjusza Lorne. List był wysłany z Budapesztu.

Ciotka Marcia przeprowadziła się do swojego mieszkania, lecz ku jej wielkiemu rozczarowaniu Wirginja nie chciała u niej zamieszkać i pozostała w hotelu Ritza. Jenny bała się zlotu masażystek, fryzjerów, modystek i krawcowych, któremi pani de Kerouzan lubiała się otaczać natychmiast po przyjeździe do Paryża. Jako pretekst podała wyjazd do Londynu.

I rzeczywiście, zamierzała początkowo udać się do Anglji, gdyż słowa Klaudjusza Lorne zaniepokoiły ją. Miała z nim krótką rozmowę w przedsionku hotelowym, przed jego wyjazdem i to, co opowiedział, przeraziło Jenny.

Godfrey Cairsdale przybył do Budapesztu z początkiem grudnia i młodzi urzędnicy Foreign Office w Londynie dowiedzieli się bardzo szybko, iż nie wraca na swoje stanowisko węgierskie. Godfrey był kilkakrotnie w ministerstwie spraw zagranicznych i widziano go tam pierwszego stycznia, to jest nazajutrz po sylwestrowem przyjęciu u lady Preston, na którem się nie zjawił, przyczyniając swoją nieobecnością tyle trosk i kłopotów gospodyni domu. Klaudjusz połączył się telefonicznie z jego mieszkaniem. Służący powiedział mu, że pan Cairsdale opuścił Londyn poprzedniego dnia, popołudniu, nie pozostawiając żadnego adresu. Kazał spakować rzeczy. Wsiadł do taksówki i odjechał.

Klaudjusz, zdumiony nagłością i tajemniczością tego odjazdu, zwrócił się do lorda Stratfielda, starszego brata Godfreya, którego spotkał w klubie, lecz i on nie znał zamiarów swojego brata. Byli przed kilkoma dniami razem na obiedzie, Godfrey był w jak najlepszym humorze i nie wspomniał o żadnej podróży. Wręcz przeciwnie, zdawało się, że pozostanie dłuższy czas w Londynie.

Klaudjusz Lorne, zaciekawiony tem zagadkowem postępowaniem, starał się otrzymać informacje w Foreign Office, ale bez powodzenia. Ani koledzy Godfreya, ani też urzędnicy zajmujący się sprawami węgierskiemi nie wiedzieli, iż opuścił Londyn.

Nie podał zmiany adresu, coby uczynił niezawodnie, gdyby jego wyjazd był normalny.

— Ten szczegół zdziwił mnie najbardziej — rzekł Klaudjusz Lorne, podczas rozmowy z Wirginją — to też postanowiłem wypytać Feliksa Deuzilla, będącego kuzynem mojej matki, i który, jak pani wiadomo, jest jednym z podsekretarzy stanu w ministerstwie spraw zagranicznych, a więc postacią dosyć wybitną. Miałem zamiar pożegnać go przed wyjazdem do Wiednia. Przyjął mnie natychmiast. W gabinecie zastałem wysokiego, tęgiego mężczyznę, który robił wrażenie oficera marynarki w cywilu. Denzill nie przedstawił mnie nieznajomemu. Podczas naszej rozmowy stał przy oknie, zwrócony do nas plecami. Feliks pytał mnie o rodzinę. Skorzystałem z tego, ażeby wspomnieć o przyjęciu u ciotki Zuzanny i nieobecności Godfreya. W tym momencie Feliks wyprostował się na krześle. Zapytałem więc:

— Co się stało z Godfreyem Cairsdale?

Zauważyłem, iż wysoki nieznajomy, stojący przy oknie, odwrócił głowę.

Zamiast mi odpowiedzieć, Feliks Deuzill zwrósię się do niego z okrzykiem:

— Czy nie mówiłem?

A następnie spoglądając na mnie dodał:

— Jeżeli cię będą pytać, co się stało z Godfreyem Cairsdale, odpowiesz, że jest na urlopie.

— A jednak — rzekłem z uporem — nie jest na urlopie.

Moje słowa nie spodobały się im, i zaczęli sprzeczać się ze sobą.

— Mówiłem panu, że to nie wystarczy! — zawołał Feliks Deuzill. — Trudno tu coś zataić: wszystko wiedzą. Należy znaleść inne wytłomaczenie, bardziej wiarogodne.

— Może pan ma słuszność — zauważył obcy mężczyzna, — panu pozostawiam wynalezienie tego wytłomaczenia. Dowidzenia.

Gdy odszedł, Feliks Deuzill rzekł do mnie.

— Godfrey Cairsdale musiał opuścić Londyn ze ...względów natury prywatnej i osobistej, przeto radzę ci, mój drogi, nie poruszać tego tematu.

Nic więcej nie mogłem wydobyć od niego — kończył Klaudjusz Lorne. — Wychodząc z ministerstwa, zapytałem woźnego o nazwisko mężczyzny, który był u Feliksa Deuzilla.

Woźny był nieco zakłopotany i szepnął, że nie przypomina sobie dokładnie jego nazwiska.

— Skłamał oczywiście, i daremnie starałem się zrozumieć, dlaczego człowiek ten występował incognito.

Wirginja pragnęła udać się natychmiast do Londynu, ażeby przebić mgłę tajemnicy, która otaczała zniknięcie Godfreya.

Zamierzała w pierwszej chwili udać się nazajutrz do Londynu, ale po nieprzespanej nocy doszła do przekonania, iż nie przyniosłoby to pomyślnych wyników.

Kobieta, a nadomiar cudzoziemka, nie miała absolutnie żadnych danych, by rozwikłać przyczyny oficjalnego milczenia, które w sferach rządowych otaczało Godfreya. Na razie, trzeba było uzbroić się w cierpliwość i czekać. Znalazła sojusznika w Klaudjuszu Lorne, i on, być może, otrzyma w Budapeszcie, to jest na ostatniej placówce Godfreya, pewne wyjaśnienia, które wytłomaczą, dlaczego nie przybył na umówione spotkanie.

Teraz, czytając list Klaudjusza, cieszyła się, że czekała cierpliwie. Niezwykła historja zawarta w tym liście, a więc spotkanie Godfreya na przystanku kolejowym przy dwieście dwudziestym czwartym kilometrze, dawała jej możność do przedsięwzięcia jakichś kroków, czego pragnęła gorąco. Bezczynność męczyła ją.

„I jedno tylko pragnę dodać — pisał Klaudjusz — proszę łaskawą panią o najgłębszą tajemnicę. Nie powinienem był pisać pani tego wszystkiego, lecz przyrzekłem donieść to, czego się dowiem o naszym dzielnym Godfreyu. Sprawa została dziwnie przyduszona i nie dostała się do pism. Euau Mac Tavish, którego odwiedziłem w szpitalu, utrzymuje, że nie mogłem widzieć Godfreya, że było to tylko moje przywidzenie... Twierdzi on, iż podszedł do drzwi, ażeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i ugodzono go z tyłu. Powtarza, iż miał do czynienia z jakimś złodziejem, których pełno jest w pociągach, i że nadejście konduktora spłoszyło złoczyńcę. Mac Tavish oświadcza, że nic mu nie skradziono. Biedak stracił sporo krwi, ale szczęśliwie uniknął śmierci. Cudowne ocalenie zawdzięcza temu tylko, iż ostrze noża natrafiło na sprzączkę metalową przy szelkach i rana nie jest poważna.

(D. c. n).

JÓZEF BORKOWSKI (kpt. — I oficer s s „Tczew").

3)

„TCZEW" UWIĘZIONY W LODACH

(WRAŻENIA MARYNARZA)

Dziwisz się zapewne, że opisywałem Ci naszą „przygodę" cokolwiek dziwnym stylem. Otóż, moja droga, pisząc do Ciebie, miałem na myśli opracowanie czegoś podobnego do „Morza", więc dlatego nie pisałem tego w formie zwykłego listu, lecz opowiadania, co zresztą nie powinno mieć dla Ciebie znaczenia. Zresztą wiem, że masz zwyczaj odczytywania znajomym moich niektórych listów, a ostatni z Karby nawet podałaś podobno do publicznej wiadomości. Wstyd Maryśka! Ja jeszcze nie zginąłem, a Ty już korzystasz z praw spadkobierczych. Zwróć się do Stasi, aby Tobie przy okazji zrobiła wykład o prawie autorskiem. Więc tak jest, Marysieńko! Teraz Ci prywatnie na boku poza opisem powiem, że nie jest wcale tak źle. Jest tu nam teraz, jak u Pana Boga za piecem. Tylko że nudy w tych sakramenckich lodach takie, iż oszaleć, albo i całkiem skonać można. A tu nikt nawet nie domyśli się przysłać zwyczajną za 20 groszy polską gazetę. Wszystkie te artykuły, gdzie my jesteśmy takimi wielkimi bohaterami, są nam wcale nieznane. Za wyjątkiem kilku gazet przysłanych mnie przez Stasię, nic innego nie czytałem, a zgódź się z tem, że jest to dla nas niecodzienna i ciekawa rzecz. Podobno i mój list do Ciebie figurował w Czerwonym i list Starbałły i późniejsze rewelacje korespondenta, gdy nas odwiedził i gdy mu musiałem przeczytać swój list do Krysi, aby on mógł zorjentować się w całości „przygody".

Słowem, są to rzeczy niezmiernie dla nas ciekawe, a jesteśmy ich pozbawieni nie przez skąpstwo bynajmniej i oszczędność, o to Was nie posądzam, ale wprost przez brak domysłu, że tu nie biegają warszawskie łobuzy z gazetami.

Więc zapamiętaj sobie: gazet, gazet i jeszcze raz gazet.

Następnie niepotrzebnie wydajecie na telefon do Gdyni (3 zł. 1 min.), p. Rummel nie wie więcej, niż wy. A co do naszego głodu, to już zupełnie „lampa". Zapomnieliśmy już nawet, kiedy to było. A wtedy gdy otrzymałem Twój list (adres jest dobry) ze skrupułami, że Ty tam jesz, a ja to nie i jestem głodny — wtedy akurat wstawałem od stołu, śmiejąc się w kułak. Na obiad była świetna zupa, befsztyk, któregobyś Ty nie zjadła w 3 dni, no i doskonała kawa. A ty mówisz: głodny! Powiedz to Tadziowi, niech się uśmieje mój cacany, kochany chłopaczek. A czy otrzymał on moją kartę i czy nie zmienił swoje modlitwy do Bozi, żeby dała teraz taką, trochę gorszą pogodę. Bo my już tu liczymy się z tem, że nietylko św. Józefa będziemy obchodzić tu, przy skromnym aeroplanowym rumie, ale i Wielkanoc może nas tu zastać. Mój Boże, to naprawdę byłoby już okropne. Pomyśl sobie od 2-go lutego.

Kończę ten list o 3-ej rano. Wyobraź sobie! O godzinie 11-ej wieczorem zameldował mi bocman, że na okręcie nigdzie nie może znaleźć 2 marynarzy. Obszukaliśmy cały statek — niema. Gdzie się podzieli? co się z nimi stało? Niewiadomo. Wreszcie o 3-ej w nocy wychodzę na pokład — widzę, coś kroczy przez lód do statku. Okazuje się, że ci dwaj warjaci poszli sobie pokryjomu o pół do siódmej na ląd, aby zakupić cukru, którego nam od 3 dni było brak. Zbeształem ich i obiecałem wyrzucić w Gdyni, ale ich odwaga i ten słodki dowcip z cukrem zupełnie mnie rozbroiły. Wyobraź sobie, że wracali w nocy po swoich śladach, bo w tamtą stronę to orjentowali się podług latarni morskiej, ale z powrotem mieli przed sobą tylko nieprzeniknioną ciemność. I to przeszło 4 mile tam i z 4 z powrotem. Niema co mówić, mam zuchów na statku, którzy napewno potrafiliby i w ogień skoczyć. Bo przecie niemcy chcieli ich na lądzie siłą zatrzymać i przenocować. Ale gdzie tam? Wyrwali się i jazda na statek, aby niepostrzeżenie wrócić. Na ich nieszczęście ja jeszcze nie spałem.

No powiedz-że mi, czy my polacy nie potrafimy imponować? A jakiś korespondent mówi, że jesteśmy bohaterami!... głupstwo, ot taka już nasza natura.

Żegnaj, kochanie, ucałuj wszystkich mocno, mocno.

Twój Józef „rozbitek".

DODATEK NADZWYCZAJNY.

Rząd niemiecki porozumiał się z Sowietami o przysłaniu lodołamacza „Krassina", który ratował ekspedycję Nobilego, celem przełamania Kanału Kilońskiego i wydobycia z lodów statków, znajdujących się w Zatoce Kilońskiej. Czekamy więc teraz na jego przybycie. Podobno około 6 — 7 marca przybędzie. Razem z nim przychodzi lodołamacz „Truwor". Najprzód rozpoczną łamanie lodu w kanale (100 klm.), następnie połamią lód na Elbie, a może wtedy i na nas przyjdzie kolej.

Od soboty 2 marca nie było żadnego aeroplanu, a dziś już 6-ty. Nie mamy chleba, mięsa, a głównie żadnej poczty. Może dziś wobec trochę lepszej pogody przylecą.

O godz. 14-ej przyleciał D 1459, zrzucając worek z pocztą i paczkami gazet oraz mięso i chleb. Będziemy mieli spokój na parę dni. Otrzymałem aż 5 listów i dużą paczkę od Stasi. Serdecznie jej dziękuję za to. „Kurjer Czerw." również przysłał kilka paczek gazet, więc wszyscy teraz jesteśmy zajęci pilnem wyszukiwaniem wzmianek o „Tczewie", a jest ich tam sporo. Słowem, urośliśmy na bohaterów. Dostałem prócz bardzo miłego i doskonale zredagowanego listu od Magdy, jeszcze jeden z Lublina, również ze słowami otuchy i podziwu dla bohaterów, a głównie, że wszystkie te listy adresowane są do mnie. Mówię Ci, że jeszcze parę miesięcy takiego postoju, a będę zmuszony przyjąć jaką sekretarkę do załatwiania mojej osobistej korespondencji.

Dzisiejsza poczta przyniosła nam wiadomość, że w Kielu znajduje się nasz inspektor kpt. Bramiński, który kieruje, a właściwie stara się o podjęcie akcji ratunkowej dla „Tczewa". Poruszony jest już nietylko Kiel, ale i Hamburg. Będziemy się starali za wszelką cenę dojść, do przełamaniu przejścia w lodach, o własnych siłach do Holtenau. W przeciwnym razie holowniki żądają według prawa morskiego trzeciej części wartości statku i ładunku, więc w grę tu wchodzi kilka tysięcy funtów sterlingów, czyli kilkaset tysięcy złotych.

Pozatem wytłukły się nam wszystkie szklanki, pijemy herbatę z poprzecinanych na pół i szlifowanych butelek. Wesoło, co?

Ja z „Tczewa“ po skończonej podróży prawdopodobnie schodzę, jak pisze Bramiński; możliwe, że pójdę na „Wilno“.

8-go marca silny, północno - zachodni wiatr, potworzył z jednolitej pustyni duże lodowe pola. W odległości kilkuset metrów z jednej i drugiej strony „Tczewa“ ukazały się przejścia wolne od lodu, lecz sam „Tczew“ pozostał w środku. Rozpoczęły się teraz ślepe wędrówki. Dwudniowe nasze starania wydobycia się na wolną przestrzeń oczywiście nie dały żadnego wyniku. Przez 2 dni odniosło nas na zachód na 11 mil. Tak, czy inaczej, jesteśmy już bliżej jakiegoś końca tych beznadziejnych dni. Teraz (w nocy z 9-go na 10-go) wieje południowo - wschodni wiatr, więc znowu zmieniliśmy kierunek wędrówki. Jednak dzisiaj odszukał nas aeroplan, zrzucając nam pocztę! Ja oczywiście, jak zawsze, otrzymałem listy, z trzech — dwa były do mnie, w tem jeden Twój. Dziękuję serdecznie, Marysieńko. Zmartwiłem się Twoją chorą nóżką, ale myślę, że to przecie nic poważnego. Zapowiedziany mój list naturalnie i obecnie jeszcze na statku. Uzupełniam go właśnie rozmaitemi drobiazgami. Nie ominę również i tego, że niezjawiający się od dłuższego czasu nasz przyjaciel D. 1048 zawitał do nas, radośnie witany, 6-go marca i odrazu przyniósł nam szczęście. Bowiem, gdy załoga pobiegła zbierać zrzucony prowiant, ujrzeli niedaleko ogromnego jastrzębia, mordującego dziką kaczkę. Pobiegli w tę stronę, odebrali ofiarę i ciepłe zwłoki przynieśli na statek. Biedny jastrząb musiał klnąć polskich marynarzy, lecz trudno, jesteśmy na pustyni i w walce o byt ten zwycięża, kto silniejszy — panuje tu takie prawo. Na drugi dzień mieliśmy wspaniałe pieczyste. Obecnie mam wachtę — wiem, że nas dryfuje, lecz dokąd i z jaką szybkością? Horyzont mglisty, latarń nie widać, — nie mogę nawet stwierdzić, w jakim znajdujemy się punkcie.

11 marca jesteśmy już w odległości 50 mil od poprzedniego miejsca. Nie przestaje znosić na wschód. Wczoraj wieczorem spodziewaliśmy się, że wyrzuci nas na duński brzeg. Jednak nie. Błądzimy dalej po morzach. Cały czas trwa mgła; oczywiście żaden aeroplan w takich warunkach nas nie znajdzie.

12 marca bez zmian, a właściwie to zmiany są — bo zjedliśmy dziś ostatni kawałek chleba, cukru nie mamy od trzech dni. Gdyby nie ta zwarjowana wycieczka nocna moich marynarzy, to nie byłoby go już od paru tygodni. Wiatr i prąd niesie nas dalej na wschód. Pole lodowe, w którem się znajdujemy, służy nam jakby tarczą ochronną i broni nas od wyrzucenia się na brzeg. Szczęście jednak jest z nami: — omijamy szczęśliwie znajdujące się na naszej drodze kamienie podwodne koło Danji i idziemy, a właściwie płyniemy dalej. Humory już oddawna opuściły wszystkich. Pomijając to, że nie mamy co jeść, ale i poczty żadnej nie mieliśmy od 5 dni. Mgła, mróz, wiatr i własna bezsilność...

EPILOG.

Dziś 13 marca — Krysi imieniny — więc zapowiadam od rana wszystkim, że dziś jest szczęśliwy dzień — i że dziś właśnie muszą zajść zmiany ku lepszemu. I wiesz, że nie omyliłem się z przepowiednią. Bo my, jak to my — czy to już taki charakter od urodzenia, czy to nas taka ciągła włóczęga usposabia — słowem, zawsze ci sami — marzyciele. Ale rzeczywiście od godziny 10-ej zaczęło się rozpogadzać, a w południe wiosenne słoneczko rozpogodziło i nasze oblicza. Około 3-ej po poł. przyleciał jakiś aeroplan, widocznie z wywiadem, zrzucił dwa worki żywności i mamy nadzieję, że zawiadomił kogo potrzeba o naszem posuwaniu się coraz dalej w lodzie na wschód. Dziś śliczna jasna noc, więc mamy nadzieję, że jutro będziemy mieli jakieś wiadomości co do zamiarów na zmianę naszego losu.

Niestety! Nadzieje na pogodę 14-go zawiodły — mgła, mróz i wiatr. Dryfuje znowu. Za to 15-go nadzwyczajna niespodzianka i zapowiedź bardzo bliskiego końca. Od rana piękna pogoda. Około południa zauważyliśmy na horyzoncie ogromny słup dymu. Po pewnym czasie coraz wyraźniej zarysowuje się sylwetka wojennego statku. Nareszcie! Nareszcie! Toż przecie dziś półtora miesiąca walki z lodem, z głodem i z niepewnością jutrzejszego dnia. Nareszcie!

Podchodzi pancernik „Elsas“; witamy go salutując banderą. Maszyna gotowa. Węgiel do kotłów pośpiesznie się zabiera z ładunku, bo swego już dawno brak.

„Elsass“ po krótkich manewrach rozbija dookoła lód i o godz. 14.30 jesteśmy wolni. Dziś rozumiem radość wypuszczonego na wolność więźnia.

Lód, przymarzły do burty, dochodzi 2 — 2 i pół metra.

Manewrując ostrożnie swoim chorym sterem, wydobywamy się na wolną przestrzeń. Idziemy do Kielu, aby wejść do doku i następnie po dokonanej naprawie steru i uszczelnieniu pęknięcia w burcie udać się do Danji w celu wyładunku i następnie ponownej naprawy powyginanej na całej długości burty.

Od miejsca, gdzie stanęliśmy poraz pierwszy, odniosło nas w ciągu ostatnich 8 dni o 120 mil morskich na wschód. Więc jutro 16 marca — Kiel; skąd wreszcie będziemy mogli wysłać swoim kochanym listy i wiadomości o swojej wolności.

Witam więc Was, kochani, najdrożsi. Ściskam i całuję wszystkich mocno.

Wasz Józik.

(Józef Borkowski)

kpt. — I oficer s/s „Tczew“.

